NASZA



GAZETKA

NASZA GAZETKA

Pismo perjodyczne młodzieży Państw. Gimnazjum Polskiego w Bielsku.

NUMER 8. | BIELSKO, Luty 1933 R. | ROK IV.

W obliczu gminy szkolnej.

(Wyjątki z przemowy kol. Gorączki, wygłoszonej w auli dnia 3 lutego 1933.)

...Dyrekcja i Rada Pedagogiczna naszego gimnazjum dają nam możność wykazania naszych zdolności organizacyjnych i samorządowych. My musimy stanąć na wysokości zadania i okazać, że potrafimy się sami rządzić, kierując się jedynie pracą, ideałami i obowiązkami, a wyłączając bat i teror, dawny współczynnik nauki w starej, na szczęście zanikającej już szkole. Musimy wykazać, że potrafimy zadośćuczynić temu, czego ma się prawo wymagać od kwiatu młodzieży, mającej w przyszłości stworzyć karne i jednolite społeczeństwo...

— — — — — — —

Musimy obecnie u progu krystalizującego się w jedną zgraną całość społeczeństwa gimnazjalnego zdać sobie jasno sprawę z tego, że, jak mówi ang. historyk John Ruskin: „Wolność to posłuszeństwo"... Musimy przyzwyczajać się do wykorzeniania naszych starych wad narodowych, a więc lenistwa, lekkomyślności i warcholstwa. Lenistwa, — bo przecież zadaniem naszem jest nie drzemanie i gnuśnienie w zapleśniałej bezczynności, ale — jak mówi poeta — mamy ująć kaganiec oświaty, iść naprzód i świecić. A chyba nikt nie zaprzeczy, że 150-letnia niewola wpłynęła w niektórych kierunkach bardzo ujemnie na naszą umysłowość, a więc przed nami leży wielka przestrzeń pracy, tak, że powinniśmy się trzymać przysłowia: „Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, a co masz zjeść dziś, zjedz jutro." Niestety u nas daleko popularniejsze jest inne hasło, a mianowicie: „Co mam zjeść jutro, zjem dziś, a praca nie zając, nie ucieknie."

Musimy tępić lekkomyślność, bo jak mówi znany aforyzm, — a jeden aforyzm wart jest stu złotych myśli: — „Częstokroć silniejszym, niżeli naszych 5 zmysłów, jest szósty: lekkomyślność." Polacy zaś znani są przecież z tego, że gubili złote podkowy w Rzymie wtedy, kiedy chłop nie miał czego do ust włożyć! O ile zaś przysłowia mają być odbiciem mentalności i charakterów narodów, to jakże znamienne są dla nas przysłowia: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa" i „Zastaw się, a postaw się!". Musimy wreszcie tępić usilnie warcholstwo, to właśnie, które przed wiekami przywiodło Polskę szlachecką do zguby. Pamiętajmy, że kto chce

umieć rozkazywać, wprzód musi umieć słuchać. I my musimy uczyć się słuchać, bo nie wolno nam później, w przyszłości, wnieść anarchji i bałaganu do społeczeństwa, a my musimy stale mieć na myśli to, co będzie i patrzeć końca. Nie uczymy się dla szkoły, lecz dla życia. Szkoły nie możemy traktować jako jarzma lub jako fabryki patentów, szumnie przez kogoś patentami na dziadów nazwanych, ale szkołę musimy traktować jako samo życie...

...Polska dąży, bo dążyć musi do wyrobienia społeczeństwa zorganizowanego, składającego się z dzielnych jednostek. A nie może być mowy o dzielnych jednostkach, jeżeli nie będziemy kształcić charakterów. A szkoła dnia dzisiejszego, szkoła z samorządem, to szkoła charakterów.

— — — — — — —

Na zakończenie chciałbym jeszcze raz podnieść znaczenie i doniosłość obecnej chwili. Chwili, która powinna się stać naszem wewnętrznem świętem. Świętem reorganizacji i świętem zwrotu ku właściwej drodze dążenia do wyższych celów. Hasłem naszem niechaj będzie: Przez wychowanie moralno-społeczne — do tężyzny ducha i ciała.

Szkoła — to trening do „Olimpjady“ życia!!!

Tłum. Burkot Adolf, kl. VI B. *W. Goethe.*

Król Olch.

Któż jedzie w noc późną, w wichury złej czas?
To ojciec w dom wraca z dziecięciem wraz.
Wziął chłopca na siodło, przygarnął go wpół,
do serca go tuli, — by ciepło się czuł...
„Czemuż, synku, twarz kryjesz?... Lęk to czy ból?“
„Ach, ojcze! nie widzisz? Tam olszyn król!
Król olch!... Ma koronę i długi płaszcz!...“
„To, synku, mgły pasmo się snuje przez haszcz!“
„Hej, piękny chłopczyku! Przyjdź do mnie sam:
prześlicznych zabawek dużo ci dam!
Na brzegach mych rośnie stubarwny kwiat,
moja matka dużo złocistych ma szat...“
„Mój ojcze, mój ojcze! Ach słyszysz? — czy nie? —
Co szepce król olszyn do ucha mnie?“
„Dziecino, już przestań myślami się gryźć:
to z wiatrem szeleści uschnięty liść!“
„Chłopczyku — cóż — nie chcesz przyjść na mój dwór?
Nie chcesz obaczyć mych pięknych cór?
Moje córki w pląsach śród nocy mkną:
ukołyszą cię, uśpią piosenką swą...“
„Mój ojcze, mój ojcze!... Nie widzisz ty widm —

Cór króla olszyn — wśród szarych wydm?"
„Synku, mój synku! mam dobry wzrok!
To stare wierzby, spowite w mrok!"
„Podobasz mi się! Moim więc bądź!
Nie chcesz?... Więc muszę przemocą cię wziąć!"
„Mój ojcze! Mój ojcze!... Olszyn król
porywa mnie... chwyta... Och, jakiż ból!"
Struchlały ojciec spiął konia w cwał,
a chorą dziecinę przy sercu miał...
Gdy sił już ostatkiem dojechał do wrót,
w objęciach miał dziecię — zimne jak lód.

Godło: „Lis" E. Rogalski III c.

Najstraszniejsza chwila mego życia.

(Przeżycie prawdziwe.)

Miałem wówczas około 11 lat.

Mieszkaliśmy we Lwowie, na Łyczakowie, które słynęło i słynie ze złej opinji. Koło naszego domu znajdował się słynny cmentarz Łyczakowski, a koło niego prowadziła droga do miasta. Otóż koło tego cmentarza jakieś tajemnicze indywiduum mordowało dzieci, które późnym wieczorem wracały do domu. Wieczorem zwykle nie chodziłem tamtędy. Lecz jednego dnia zimowego dłużej zostałem w mieście i ciemno już było, gdym wracał do domu. Połączenie elektryczne nie prowadziło tamtędy, więc droga była nieoświetlona. Idąc, modliłem się żarliwie, abym nie spotkał owego morderczego straszydła.

*
* *

Księżyc świecił i odbijał się na murze cmentarza tysiącami iskierek. Pustka i cisza panowała wokoło. Śnieg skrzypiał pod memi nogami, iskrzył się w słabych promieniach księżyca. Jakowyś lęk omotywał me drżące serce cieniutkiemi niteczkami strachu. Nagłe... jakaś postać wyszła z trudem z rowu i skierowała swe kroki do mnie. Poznałem. Był to dziad wędrowny z kijem i torbą. Strach mój w jednej chwili minął.

Śmiałym krokiem chciałem go minąć. Lecz nagle starzec podniósł swój sękaty kij, a ja ujrzałem potwornie wykrzywioną twarz. Serce we mnie zamarło... Z krtani szaleńca wyrwał się jakiś rzężący i gardłowy okrzyk, obił się o mury cmentarza i wpadł do mego zalęknionego serca. Zrozumiałem... Straszne obłąkane oczy wpiły się z nienawiścią we mnie i... wielki ból uczułem pod czaszką. To szaleniec uderzył mnie swym sękatym kijem. Gdy oprzytomniałem, starzec przygniatał mnie do ziemi bezlitośnie, a ręce jego drżące szukały mego gardła. Wizja bliskiej śmierci zawisła jak potępiona zmora nademną. Wówczas me krótkie życie stanęło mi w oczach. Zdało mi się, że jestem w domu przy rodzicach, to znów że jestem w szko-

le. Lecz szara i straszna rzeczywistość zasłoniła wszystko.

Szamotałem się, lecz napróżno. Kościste, drżące ręce starca zaciskały się wolno dokoła mej szyi i uczułem, że śmierć już niedaleko. Księżyc wraz z gwiazdami zaczęły tańczyć jakiś obłąkany taniec i wszystko nagle zawirowało w okropnym i przerażającym ruchu i znikło.

Jak przez sen usłyszałem śnieg skrzypiący pod stopami idącego człowieka. Nagle uścisk dokoła mej szyi zwolnił się, a ciężar, który mnie przygniatał, ustał.

Po chwili podniosłem z trudem rozbitą głowę. Ujrzałem oto mego prześladowcę, wskakującego do rowu. Po chwili znikł on w krzakach przydrożnych. Następnie jakiś chichot piekielny obił się o moje uszy i napełnił duszę nowym strachem. Widocznie musiał go ktoś spłoszyć i wściekły był, że ofiara mu umknie. Podniosłem się szybko i pobiegłem w stronę domu, a strach dodawał mi skrzydeł. Potem ciemność jakaś otoczyła mnie i na progu naszego domu zemdlałem...

Otworzyłem zwolna oczy...

Leżałem w swojem łóżku, przykryty ciepłą pierzyną. Wspomnienia dnia wczorajszego zaczęły się tłoczyć niejasno w mej głowie. Dotknąłem mimowoli ręką głowy. Głowa była zabandażowana i ból przypomniał mi wczorajszy cios.

Długo jeszcze leżałem, gdyż ciężka choroba mną owładnęła i trzymała w swych strasznych objęciach. Lecz dzięki staraniom mej troskliwej mateczki opuściłem łóżko.

Od tej chwili nikt już nie słyszał na Łyczakowie o obłąkanym starcu, mordercy wielu dzieci. Znikł on gdzieś lub zginął. Tylko w mem sercu pozostawił po sobie wspomnienie swego strasznego czynu, które nieraz zadrga bólem i strachem na myśl o okropnem przeżyciu.

NADESŁANE.

Echa naszej zabawy szkolnej.

Było bosko! Jeszcze dzisiaj „dreszcz rozkoszy“ wstrząsa mną na samo wspomnienie. Sala była prześliczna! Ozdobiona i popodpierana żywemi filarami płci obojga. Muzyka, gdy nie odpoczywała, to „rżnęła“ od ucha do ucha. Ale co najważniejsza to to, że płeć piękna wyjątkowo nie zawiodła, stawiła się gremjalnie „jak jeden mąż“?!, co z „niewysłowioną“ wdzięcznością zaznaczam. Dzięki temu „wybór był wielki, jak butów u Del-ki“ (tylko proszę się nie obrażać, bo ja za reklamę dostałem parę półbucików). Pan prof. B... prowadząc mazura, wydawał energiczną komendę, głośną, jak na ćwiczeniach fizycznych. Cieszyliśmy się z tego niewymownie. Niech ci goście przynajmniej raz zaznają przedsmaku fizyki i... i już koniec. Co, za prędko? Wiedzcie więc, że nasza zabawa skończyła się jeszcze prędzej, niż za prędko, punkt 22 g. 45 min. Pan Dyrektor okazał się niewzruszonym jak opoka. Nie pomogła nawet interwencja płci pięknej, gdyż... pan Dyrektor oblężony „przerznął się między suknie i fraki, uciekł i zmylił pogonie.“

Rigoletto.

H. Hoffmann, VI b.

Świt.

Wokół już się ozwały ptaszęce pogwary,
Poprzez bór senny błyszczy promieniste słońce,
Z pól podnoszą się zwolna poranne opary,
I sennie, tajemniczo wodzą się po łące...

W szuwarach ptactwo wodne poczęło obrady,
I białe lilje otwarły kielichy,
Patrząc ciekawie w turkus nieba blady,
Poczęły mówić pacierz swój poranny, cichy...

Słychać szmery... To ranne powietrze, przeczyste,
Powtarza każdy odgłos tysiąckrotnem echem...
Z pobliskich trzcin wciąż płyną modły uroczyste,
Zmącić ten nastrój święty zdałoby się grzechem.

Cicha woda na stawie ma barwę opali,
Pląsają po niej złote wysłanniki słońca;
Stary młyn w zadumanej przegląda się fali,
Co o piaszczyste brzegi tłucze się bez końca...

Jest na świecie cudowna, tajemnicza siła,
Co przed nią ludzkość wznosi swe czoło do góry;
Chełpiąc się, że jej ręka żywioł ujarzmiła,
Ukorzy się w zachwycie — przed Pięknem Natury.

Baselides Aleksy VII b.

Optymista.

Mój przyjaciel, niech go trzysta!...
Byczy chłop, choć coś nie tego,
Niepoprawny optymista,
Wszystko pięknem jest dla niego.

Nic go nie uderzy pałą,
Żadna sprzeczność oczywista,
Najczarniejsze widzi biało,
Zakazany optymista.

Wszystko go interesuje:
Sport, literatura, sztuka;
Nawet wcale nie żartuję:
Pasjonuje go nauka.

Choć nie nazwałbym go za nic
Ni uczonym, ni artystą,
Jednem tylko jest bez granic,
Najwspanialszym optymistą.

Nacóż inne mu talenty
Nad wesołą myśl i czystą,
Że w najgorszem uśmiechnięty,
Zawsze wszędzie optymistą.

Baselides A., VII b.

Ostatni raz.

(Z dziennika narciarza.)

Sobota, 14 stycznia 1933.

Wspaniale. Nie może być lepiej. Jutro wycieczka w góry na nartach. Staszek, Janek, Witek i ja. Pogodę mamy zamówioną. Narty pożyczyłem sobie od Władka, pompki od Józka, buty od Stefka (dobrze mieć czasem kolegów) i jazda. Ba jazda. Ale, że z rodzicami dobrze się o pozwolenie zmachałem, jak przy najgorszem podejściu, to fakt. Bo też ci starzy nie mają krzty zrozumienia dla sportu. Nawet dla nart. Aż wstyd! Co za zacofanie! Okropność! Doprawdy narty pchnęły kulturę o cały „szus" naprzód. Otóż mocno się zmachałem, zanim (jak mi się zdaje) zdołałem to mym rodzicom wytłumaczyć. Krzyczałem, że narty to zdrowie, że złamać nogę nie zdarza się dwa razy na dzień jednemu i temu samemu osobnikowi. Przekonałem wreszcie srogich ojców, bo mi odpowiedziano: A leć sobie na złamanie karku, nikt cię nie trzyma, co zrobić ze starym b....., masz rozum, przypomnisz sobie moje słowa i t. d. Poczem matka przygotowała mi plecak, dała forsy, więc jazda. Wspaniale. Nie mogło być lepiej. Jutro, witaj kraino mych marzeń, gór, kraino wrażeń!

Już dziś rozkosze tej wycieczki sobie wróżę:

Śnieżne stoki oblane złotym słońca żarem,
Zginające się drzewa pod śniegu ciężarem,
Wąska ścieżka, którą mknę, jako anioł w chmurze.

A co! Że jestem doskonałym poetą, to dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości. Po tej wycieczce wydam chyba cały tom. Ale dość. Jutro wycieczka. Trzeba się przedtem dobrze wyspać.

Poniedziałek, 16 stycznia 1933.

I nic. Jestem całkowicie zblazowany. Żal pisać. Wycieczka była taka sobie, bardzo piękna. Ale żebym to piękno odczuł, tego nie powiem. Com z niej wyniósł, to jeszcze noszę na głowie i na gnatach; kiedy jednak odarłem sobie kolano i łokieć, tego sobie żadną miarą nie przypominam. W każdym razie nie czuję żadnej kości. Ale to sport! Tak, sport to także maleńki hazard! Zwłaszcza, gdy się ktoś wybiera z nartami na słońce, a tu mróz, że aż przekleństwo marznie w krtani. Oj narty! Zwłaszcza, jak ktoś jeździ tak, jak ja. Dołek, to koziołek, dziura to w śnieg nura, drzewo — więc, nosem bęc. Używanie przez 5 godzin takich rozkoszy złamie najniezłomniejszego bohatera. Cudem wylazłem z tych tarapatów; wiadomo zresztą, że odważnym szczęście sprzyja. Głupim też. Czy byłem odważnym, czy głupim? Wszystko jedno. Jedna mnie myśl w tym ambarasie pociesza, że moi towarzysze też nie jeździli bezpłatnie. Staszek (klawo chłop jeździ) złamał sobie nartę, Janek odmroził uszy, a Witek pokiereszował sobie na pamiętnym pniu gębę tak, jakby się tępą brzytwą własnoręcznie ogolił. Jeden gość złamał sobie nogę. Nie taka znowu tragedja. I wszystko byłoby dobre, gdyby nie ten mróz. Ten mróz zamroził mój zapał i entuzjazm dla nart zupełnie. Czy mrożenie się przez 5 godzin nie zmrozi najpłomien-

niejszego serca? Serce coprawda mniejsza, ale uszy pieką mnie jak na patelni, a ręka dotąd mi nie odtajała. Walka z dwoma żywiołami, zmrożoną wodą i powietrzem, jest przegraną z góry. Ale pocóż się tak rozczulać? To był już ostatni raz w tym roku.

Bywaj mi zdrowy, kraju śniegowy,
Ja także wolę być zdrowy,
Żegnajcie moje skrzydlate narty,
„Samostęp" mój jest także coś warty.

Sobota, 21 stycznia 1933.

Wspaniale. Jeszcze lepiej. Jutro w góry. A co? Dał dobry Pan Bóg niedzielę, aby ją pobożnie i po sportowemu spędzić. Ach! Przez cały tydzień gnić tak w książkach! Okropność! Można się udusić. Kto raz skosztował tego boskiego nektaru, tego upajającego narkotyku, ostrego, cudownie rzeźwego powietrza, kto raz upoił wzrok widokiem rozległych szczytów osnutych mgłą, przetykaną słońcem; kto raz słuchał głosu ciszy leśnej, szmeru spadających okiści; kto raz wykąpał się w blaskach tego cudownego, bajecznego, górskiego słońca; kto raz poznał rozkosz szalonego pędu — ten żyć bez nart i gór nie może. Dusza rwie się z ławy szkolnej i myśl leci hen! Więc jutro — jak rozkosznie dwa te słowa brzmią! Jutro. Grad wrażeń, radość życia, upojenie, szał.

Wiwat narty me kochane,
Wiwat zima biała,
Wiwat Witek, Staszek, Janek,
Kompanija cała!

Pogodę oczywiście mamy zamówioną, matce wytłumaczyłem, że to już napewno ostatni raz.

Ostatni raz, ba, do przyszłej niedzieli. Dłużej wytrzymać nie zdołę. Przez cały tydzień śniły mi się w szkole szczyty gór w słońcu i w bieli.

Parę słów o „Rewji".

W dniach 17 i 18 grudnia ub. r. dały szkoły handlowe żeńska i męska z Białej i Przemysłowa z Bielska występ na deskach tut. teatru. Rewja p. t. „Przemysł i Handel" jako całość zrobiła b. dodatnie wrażenie. Szczególne uznanie należy się p. prof. Bunschowi za przewspaniałe dekoracje. Co do niektórych jednak punktów, to miałbym zastrzeżenia: i tak niesmak wzbudziła „ni przyszył ni przyłatał" „wlepiona" deklamacja „księżniczki rosyjskiej". Nie chodzi mi o dobrą zresztą recytację, ale o temat i niesmaczną treść. „Cośkolwiek" także zadługo trwała defilada modelek w sukniach firmy X. Y. (nie będę podawał całej nazwy firmy, bo nie chcę bezpłatnie robić komuś reklamy; niech dadzą ogłoszenie do „N. G.", cennik na str. 16).

A propos jednak tych sukien! O ile mogłem zauważyć, to cała obecna na sali płeć piękna obserwowała je z wyciągniętemi szyjami i z wysokiem napięciem (1000 V.). Różne „babcie" i „ciocie" (ze wzgl. na cenzurę dodaję, że słów „babcie" i „ciocie" używam w dodatniem znaczeniu) nasadziwszy z namaszczeniem na swe czcigodne nosy złote(?) binokle, rozbierały do niteczki wszystkie razem i każdą po kolei przesuwające się skazanice pseudo-modelki. Za nic w świecie nie chciałbym być

wówczas na ich miejscu pod zjadliwą chłostą senjorek płci słabej, silnego wzroku.

Ale o Muzy! Zlitujcie się nademną, bo oto zapomniałbym o najważniejszem. Co tam, furda kryzys, furda dwóje, fizyki, łaciny i inne mineralogje, kiedy na horyzoncie bielskim wzeszły gwiazdy i gwiazdeczki, przyszłe Grety (może już teraz) „Garbate“, Pole Niegryś, Marleny Wytrych i inne królowe ekranów. I byłbym z całą pewnością napisał jakąś porywającą odę do „pięknych twarzy“ koł. z handlówki, gdyby nie to, że nie wiem, jak one w rzeczywistości wyglądają, gdyż gruba warstwa „tynku“ (tynk — polskie wyrażenie na puder i szminkę) pokrywająca ich oblicza, była zaiste nie do przebicia (przynajmniej wzrokiem). A teraz Szanowne Panie (przepraszam, ma być „Panny“) ostrzcie pióra, pazurki, języczki i inne Wasze niebezpieczne narzędzia, — rękawica rzucona... oczekuję rewanżu, t. j.... rozkupienia wszystkich numerów „Naszej Gazetki“.

Na zakończenie dodaję, że oczy ubezpieczyłem przed Waszemi przemiłemi pazurkami w Tow. Ubezp., na Waszej „Rewji“ reklamowanem. *Rigoletto.*

Eljasz Hirschfeld, VI b.

Wędrówka po muzeum w Bielsku.

Na rynku w Bielsku istnieje niezbyt rzucający się w oczy budynek, który na swej frontowej ścianie obok napisu „Dyrekcja policji“ nosi również tablicę z napisem „Muzeum miejskie“. Korzystając z wolnego czasu, postanowiliśmy zwiedzić tę instytucję. U wejścia wita nas bardzo miły staruszek. Rozpoczynamy wędrówkę. Pierwsza sala zawiera zabytki, dotyczące dawnej i nowszej sztuki kościelnej. Pośród eksponatów, które składają się na kompletne urządzenie kościoła, wyróżnia się szczególnie ambona, na której widnieje data 1556. Gdyby nie te cyfry, trudnoby było uwierzyć, że ta ambona nosi na sobie brzemię tylu wieków, a przytem tak dobrze jest zachowana. Idziemy dalej: Zwracają naszą uwagę nadzwyczaj liczne i różnorodne zabytki. Wyroby sukienników bielskich XVIII. w. zajmują część sali. Szczególnie wyróżniają się swoim oryginalnym wzorem szkarłatne kawały sukna. Kustosz objaśnia nam, twierdząc, że są to tkaniny, które wywożone były na bliski i daleki wschód, jak n. p. do Turcji lub Bagdadu. Wszystkie zabytki tej sali poświęcone są rzemieślnikom i rękodzielnikom miasta Bielska. Znajdujemy więc tutaj dzieła ślusarzy, olbrzymie zamki i kłódki, ozdobione misternemi rzeźbami. Połączenie zmysłu praktycznego z zmysłem estetycznym uderza odrazu w oczy. Trudno wyliczać wszystkie zabytki tej sali, gdyż niema tutaj na to miejsca. Przepiękne stare puhary, kielichy, dzbany spoglądają z gablotek. Zdobione skrzynie cechów bielskich i pamiątki z wojny światowej, to jeszcze najbardziej godne wymienienia zabytki sali, którą, idąc dalej, opuszczamy. Zbiory starych monet i starych dokumentów, dotyczących przeszłości naszego miasta, to eksponaty następnej wielkiej sali. Wędrując po innych gabinetach, oglądamy liczne sztandary zdobyte na wrogach, strój mieszczan bielskich XVII i XVIII stule-

cia, stare zbroje, które tchną czemś dawnem i zamierzchłem. Ciekawie przedstawia się kompletne urządzenie pokoju średnio zamożnej rodziny mieszczańskiej z pierwszej połowy XIX wieku. Smutkiem napełnia duszę naszą kołyska, bo ten, co niegdyś sypiał w niej, dziś już w proch się zamienił. Ale niema czasu na takie rzeczy. Przyrodnikowi napewno serce uraduje się, gdy ujrzy zabytki flory i fauny naszych okolic, zajmujące całą salę. Drogocenny jest zbiór wymarłych już dzisiaj chrząszczy beskidzkich. Niektóre z tych chrząszczy przypominają nadzwyczaj nasze domowe krwiożercze insekty. Na tem kończymy wędrówkę po muzeum, a idziemy do archiwum, dokąd wstęp dla obcych jest surowo wzbroniony. Stare księgi, zmurszałe foljały, niektóre z pośród nich zaliczone do tak zwanych „białych kruków", zajmują swe miejsca na półkach. Mól książkowy (mam na myśli mola o dwuch rękach i o tyluż nogach) znalazłby tu prawdziwy raj. Teraz już naprawdę opuszczamy podwoje muzeum, dziękując kustoszowi za trud i serdecznie go żegnając.

Czubaj Czesław, III a.

Nasza Pasterka w Jaworzu 1932 r.

Niezmiernie ucieszyłem się z młodszym bratem, gdy rodzice pozwolili nam iść w tym roku na pasterkę. Po wieczerzy wigilijnej śpiewaliśmy wspólnie kolendy pod oświetloną choinką, oczekując z niecierpliwością godziny 11.30, o której mieliśmy udać się do kościoła. Młodszego brata znużyło jednak to wyczekiwanie i zaczął się z początku chwiać to w jedną, to w drugą stronę, aż nareszcie ułożywszy na stole pięści pod głową, zaczął chrapać sobie w najlepsze, tak, że go nawet mój śpiew nad jego uchem nie mógł zbudzić.

Wreszcie przyszedł czas ubierania się do wyjścia. Nie chcąc brata pozbawiać dawno wyczekiwanej pasterki, zacząłem wstrząsać nim, aby go rozbudzić. Na wstrząsy i wołania dźwignął głowę, to znów ją ułożył z powrotem. Powtarzając tak kilka razy, machał rękami koło uszu, jakby się od much opędzał, aż nareszcie rozbudziwszy się na dobrze, począł się raźno ze mną ubierać.

Po wyjściu z domu ogarnął nas nieprzejrzany mrok, który słabo rozpraszaliśmy naszą lampką elektryczną. Niebo zasłonięte mgłą, która wisiała w powietrzu jak szczelna zasłona, żarzyło się gdzieniegdzie bladziutkiemi oczami gwiazd. Na drodze niebezpieczna gołoledź, tak, że z trudnością schodzimy ze wzgórza ku wsi. W oknach wszędzie błyszczą słabe światełka, tak samo jak gwiazdy przesłonięte mgłą, która otacza nas wkoło.

W drodze nagłe usłyszeliśmy lamenty: „Nale Jezusku kochany! Jakże jo też teroz pójdę. Nale, nale, Jezusku roztomiły!" Przyszedłszy bliżej, zobaczyliśmy, że to stara Heczkula poślizgnąwszy się, wypuściła latarkę ze świecą z ręki, a teraz stała bezradna w ciemnościach i czekała na nasze zbliżające się światełko. Poznawszy nas, zaczęła mówić: „Nale chłapcy! Jezusek mi was zesłoł, bo tu tą kępą mało kto chodzi. Cóż bych też była zrobiła bez światła? Teraz też już musicie mnie sklu-

dzić do dziedziny, a tam już pewnie kogo spotkómy, co bydzie mioł siarki, żebym se mogła latarkę rożnąć.“ Zgodziliśmy się chętnie odprowadzić ją nietylko do wsi, ale aż do samego kościoła.

Im bliżej celu spotykamy coraz to więcej ludzi śpieszących ze wszystkich stron, a kościół zastaliśmy prawie już szczelnie zapchany, tak, że z trudem przeciskamy się przed ołtarz boczny z Matką Boską Berdyczowską, na którym ustawiona jest stajenka Betleemska, gdzie już zastajemy dużo kolegów.

Po chwili wyszedł ks. proboszcz przed główny ołtarz z nabożeństwem na Jutrznię.

— „Panie otworzysz wargi moje,“ — brzmiała jego modlitwa donośnie, a lud chórem odpowiadał:

— „A usta opowiadać będą chwałę Twoją.“

Po skończeniu psalmów rozpoczęła się msza św. pasterska śpiewana, podczas której szereg kolend odśpiewał chór mieszany Młodzieży Polskiej. Obok stajenki ślicznie oświetlonej, oprócz figur pastuszków, trzech Królów, owiec, wielbłąda i wielu innych, znajduje się także skarbona z murzynkiem, który za każdem wrzuceniem ofiary kiwa głową z podziękowaniem. Młodszy brat, który już od szeregu tygodni zbierał dwugroszówki, wrzucał je teraz co pewien czas na zmianę z innymi chłopcami do otworu skarbonki, a murzyn za każdym razem kiwał radośnie głową. Po mszy św. śpiewanej odprawiał ks. proboszcz drugą mszę św., podczas której cały kościół huczał radosnemi pieśniami na Boże Narodzenie: „Wśród nocnej ciszy“, „Bóg się rodzi“ i wielu innemi, a na zakończenie zaintonował organista śląską kolendę: „Jeszcze jedną, na odchodną, zagrajmy Jezuskowi!“ Brat jeszcze wyszukał ostatniego grosza i wrzucił go do skarbonki, za co murzyn jakoś sennie pochylił głowę, jakby był zmęczony ciągłemi ukłonami, albo też nie chciał się trudzić za jeden grosz.

Wziąłem brata za rękę i skierowaliśmy się ku wyjściu. Z ławki obok drzwi wychodziła Heczkula ze swą latarką, kiwając nam przyjaźnie głową.

Piecha Juljan, IV a.

Mój kolega.

(Próba charakterystyki.)

Kolega — a już kolega z szkolnej ławy, zajmuje poczesne miejsce w nowelkach, pamiętnikach i wspomnieniach; widzimy go tam to sentymentalnym, marzycielskim, to znów wichrowatym, lub nawet łobuzerskim.

Mój kolega ma coś z tego wszystkiego potrosze. Lecz naprzód jego sylwetka. Liczy podobnie jak i ja, około szesnaście wiosen życia, średniego wzrostu — krępy, nieco przysadzisty, z płową, bujną czupryną, a oczami jak chabry. W żadnych oczach tak łatwo nie czytać, jak w tych jego szafirach. Raz smętek z rzewnością zlany — to znowu niekiedy złe błyski — ale najczęściej bezmiar kipiącego życia, humoru i wesołości wygląda z tych dziwnych oczu. W ruchach mimo pewnej

ciężkości swobodny, żwawy, nawet zwinny, gdy chodzi choćby tylko o piłkę nożną.

Od kilku lat wyciera ze mną ławki szkolne. W obejściu gładki, czasem kpiarz nie do zniesienia, ale serce jedyne. Gotów winy nietylko swych najbliższych, ale kolegów całego zakładu wziąć na swój rachunek, i to tak całkiem serjo i bezinteresownie. Uczynny i serdeczny, umie jednak płacić pięknem za nadobne, zwłaszcza, gdy mu kto rozmyślnie figla spłata lub dokuczy. Co do nauki — to zbytnio się nie natęża i woli brać na rozum i ufać swej pamięci, niż zakuwać, jak powiada, swą pałę i mącić trzeźwość myśli. Pasję szczególną objawia do gier i wycieczek, które aranżuje bardzo sprytnie i ochoczo — radby zrobić ze wszystkich turystów. Charakter zapowiada się prawy i zacny, nie ma więc nieprzyjaciół lub nieżyczliwych, owszem lubią go wszyscy, bo i trudno go nie lubić.

Na konkurs p. t.

„Najbardziej interesujące przeżycie z mojego życia".

Hasło: „Rumba".

Kraj lat dziecinnych... Ten kraj, opiewany przez Mickiewiczów czy Słowackich, jest już za mną... Zostały jeno wspomnienia...

Rok 1923... Jakżeż to bardzo dawno, jeżeli mierzyć czasem, wypadkami, zmianami zaszłemi i zdarzeniami! Jakżeż to dawno i daleko, jeżeli mierzyć, patrząc realnie, otwartemi oczyma..., ale wystarcza tylko przymknąć oczy, aby przelecieć myślą tę ogromną przestrzeń czasu i znaleźć się tam... w krainie przeszłości, tak dalekim, a zarazem tak bliskim raju dziecięctwa...

— — — — — — —

Rok 1923. — Bo też to zaiste był dla mnie raj. Nie znałem wtedy jeszcze zupełnie tej potężnej pani, której na imię „Troska". Mieszkaliśmy wtedy w miasteczku N. Opodal naszego domu, położonego koło toru kolejowego tuż przy stacji, rozciągały się duże warsztaty, magazyny, składy etc., które w połączeniu z podwórzem, stojącym na niem starym, opustoszałym barakiem wojskowym, oraz obszernym ogrodem, stanowiły teren naszych zabaw.

Mówię „naszych", bo miałem tam sporo rówieśników.

Nie było zaś popularniejszej zabawy, jak w „żandarmów i złodziei". Stary barak był centralną siedzibą żandarmów, a złodzieje w przeciągu dość krótkiego czasu musieli się ukryć, przyczem rozległość terenu była zgóry wyznaczona. Głośny gwizd był znakiem rozpoczęcia „obławy". Najmilszą kryjówkę stanowiła „loża masońska", nazwana tak przez namiętnego czytelnika brukowych zeszycików w rodzaju „Tom Mixa", „Klimczoka" i t. p. Zresztą wszyscyśmy wówczas mieli przewrócone w głowie na punkcie tajemniczości. „Loża" ta, którą obecnie nazwałbym raczej „labiryntem", były to tunele. porobione w stosie pustych drewnianych beczek z cementu, zajmujących przestrzeń conajmniej 300 m kw. Ta kryjówka mia-

ła jedynie tę jedną wadę, że była znaną także i przez „żandarmów“, którzy przecież zamieniali się często w złodziei.

Pewnego sierpniowego popołudnia w czasie jednej z takich gier wpadłem na genjalny wedle mego mniemania pomysł ukrycia się pod progiem toru kolejowego. Bo tuż przed wybuchem strejku wymieniano kilka progów (t. zw. „szwele“), ale pracy nie dokończono. Wymiana taka odbywa się w ten sposób, że zbutwiały próg podkopuje się, że wisi on niejako w powietrzu (przymocowany śrubami do szyn), następnie podsuwa się podeń nowy. Wymiana taka nie powoduje przerwy ruchu kolejowego. Otóż ja położyłem się w takim podkopie, w nadziei, że wyjdę stamtąd jako niewykryty na ostatku i zostanę w nagrodę dyrektorem żandarmerji. To, że pociąg jakiś mógłby jechać, nie przeszło mi nawet przez myśl, gdyż jak już wspomniałem, ruch z powodu strejku był przerwany. Uzbrojony w sporą dozę cierpliwości, leżałem uparcie, ciesząc się nadzieją spodziewanego triumfu. Nie nudziło mi się bynajmniej samemu z sobą, snuły mi się po głowie najrozmaitsze i jak najbardziej romantyczne przygody, w rodzaju opowieści Karola Maya. Aż nagle... Jeżeli ktoś z Was doznał kiedy uczucia wszechwładnego strachu, ten wie, że należy on do tych uczuć, które przelane w słowa tracą swoją właściwą, głęboką treść. Nagle więc usłyszałem biegnący ku mnie po torze, niby po drucie telegraficznym, ten, tak dobrze mi znany, miarowy stuk kół, który normalnie mnie, syna kolejarza, do snu koił. Ale wtenczas, w tej chwili, odgłos ten zdał mi się stukiem kopyt strasznego potwora, który pędzi oto z otwartą paszczą, by już, już mię pożreć. W głowie miałem zamęt i szum. Każdy stuk był dla mnie uderzeniem obucha w głowę. Strach ujął mnie w szpony tak wielki, że poprostu skamieniałem... Wśród zamętu chaotycznie pogmatwanych myśli przebijała się jedna, jak bicie dzwonu na trwogę: „Uciekać, uciekać, uciekać!“ Równocześnie nie wiedząc, jak daleko znajduje się pociąg, czy może tuż, tuż... zrozumiałem, że każde wychylenie się może być śmiercią. Byłem w stanie zaledwie półświadomości, czułem ciągle miarowe uderzenia młota, które mi czaszkę rozsadzały. Nie zdawałem sobie najmniejszej sprawy z upływu czasu. Pociąg już dawno przejechał, a ja wciąż leżałem nieruchomo i słyszałem, ba, czułem nawet miarowy stuk osi. Ale ta jedna jasna myśl: „uciekać i uciekać“ ogarnęła mię całego i nie dała spokoju. Z niezwykłym, heroicznym wysiłkiem woli i rozumu, skupiłem się w sobie i zebrałem siły.

Wydawane przez rozum rozkazy, które w normalnym stanie tak łatwo i prędko wykonują nasze mięśnie, szły mi ogromnie opornie. Musiałem dokładnie skrystalizować w sobie myśl, że teraz trzeba podnieść nogę, teraz rękę, następnie drugą nogę i pełzać na czworakach. Wszystkie członki miałem jak z ołowiu, ale powoli, powoli — wypełzałem z pod progu i szedłem dalej na czworakach. Nie mogłem się podnieść, bo... bo zapomniałem, jak się chodzi normalnie...

— — — — — — —

Nie wiem, jakim cudem wszedłem do domu, kiedy i jak się podniosłem, ale dokładnie przypominam sobie tę chwilę, kiedy staję w otwartych drzwiach, wszyscy się z jakiemś dziwnem przerażeniem podnoszą od stołu i biegną ku mnie, a ja staczam się w nicość.

— — — — — — —

Ogromna, wszechwładna, bezmierna ciemność — aż nagle z dali wyłania się straszny, świecący ślepiami potwór, dyszy ciężko, bucha kłębami iskier, pędzi z zawrotną szybkością, porywa mię, miażdży i mknie dalej. Dziwne, że nie czuję bólu rozrywanych członków, tylko głowa mi ciąży i pęka. A duch mój zagłębia się w nicość i błądzi po strasznej ciemnej piaszczystej Saharze. Dusza błądzi, tuła się, oazy ukojenia szuka, ale jej nie znajduje, bo dookoła nic, tylko martwy, bezduszny, na bóle nieczuły, koszmarny, znienawidzony piach pustyni. A dusza błądzi i szuka... szuka i woła rozdzierającym głosem: „ukojenia! ukojenia!"... ale głos jej czemże innem być może, jak tem, czem jest — głosem wołającego na puszczy. A dookoła nic, jeno bezmiar nicości i czarnej głuszy...

— — — — — — —

A świat żyje i pędzi codziennym trybem, jak żył i pędził przed wiekami i jak żył i pędził będzie przez wieki... Świat pędzi, pędzi i pożera łakomie czas, a czas leczy i zadaje coraz to nowe rany...

— — — — — — —

Minął wrzesień. Z koszmarnego snu zbudziło mię dopiero rzeźkie jeszcze, październikowe słońce. Uśmiechnęła się do mnie, rekonwalescenta, kochana, złota, polska jesień.

Sześć tygodni przeleżałem na wstrząs mózgu; lekarz mówił, że byłem jedną nogą na tamtym świecie.

KRONIKA.

Dnia 3 lutego b. r. odbyła się w auli radosna uroczystość założenia **„Samorządu uczniowskiego"**. Przemawiał p. prof. Nikiel jako opiekun. Podkreślił znaczenie samorządu w życiu zakładu i w przygotowaniu nas do pracy społecznej. Następnie kolega Gorączko wygłosił referat, zaznajamiający ogół z wytycznemi pracy samorządu i z ustosunkowaniem się uczniów do tej nowej organizacji. Sprawozdanie z pracy komitetu przygotowawczego odczytał przewodniczący kol. Czulak. Po rozejściu się uczniów do klas, pozostali w auli przedstawiciele klas i prezesi kółek celem dokonania wyborów do Zarządu. Wybory odbyły się w obecności p. Dyrektora i opiekuna p. prof. Nikla. Wynik wyborów był następujący:

marsz. Czulak VIII a. głosów 35.
wicemarsz. Brożek E. VIII b. gł. 32.
Sekretarz Gorączko R. VII b. gł. 27.
Skarbnik Korzus głosów 25.
Zast. sekr. Paluch Sz. VII b. gł. 19.
Zast. skarbn. Deimel W. VIII a. gł. 17.

Wybory wypadły o tyle niedobrze, że będzie je jeszcze raz trzeba w tym roku powtórzyć, gdyż abiturjenci wkrótce ustąpią, a do nowego Zarządu wejdą uczniowie niewyrobieni. W każdym razie obecny Zarząd działa sprawnie.

Pierwszem staraniem jego było otwarcie świetlicy. W tym celu Zarząd powierzył urządzenie i zorganizowanie świetlicy kol. Brożkowi. Ów w ciągu kilku dni zdołał świetlicę urządzić. Otwarcia dokonał 13 lutego 1933.

Sodalicja Marjańska. Walne Zebranie Sod. Marj. odbyło się 12 lutego 1933. Prezesem wybrano Maszczyka Gerarda kl.

VII a, zast. pr. Łęgowika Euzebjusza kl. VII a, asystentem Palucha Szymona, kl. VII b.

—ooOoo—

Sprawozdanie Koła P. C. K.

W styczniu b. r. wybrano nowy zarząd, w skład którego weszli: prezes Fr. Żymełka VI b, wiceprezes Dutka VII b, sekretarz Maśka VII a, skarbnik Schmidt VI a.

Opiekunem tego Koła jest obecnie p. prof. A. Staszko.

Koło urządziło d. 12 marca przedstawienie w auli naszego gimnazjum.

Zebrania wszystkich członków odbywają się w każdy czwarty piątek w miesiącu.

Od Redakcji.

Rozstrzygnięcie konkursu p. t. „Najstraszniejsza chwila mego życia".

Prac nadesłano 4, pod godłami: „Lis", „S. M. G. P. B." „Rumba", „Włades" Jurę konkursową stanowili członkowie redakcji oraz kol. Foedrich (VIII b), ofiarodawca aparatu fotograficznego, z głosem decydującym. Nagrodę przyznano autorowi pracy pod godłem „Lis", przyczem wzięto pod uwagę młody wiek autora. Pracę tę w tym numerze zamieszczamy. Na wyróżnienie zasługuje „Rumba". Humorystycznie ujęta praca „Władesa" odbiegała zanadto od tematu, zaś „S. M. G. P. B." była przeładowana opisami przyrody. Po otwarciu kopert okazało się, że pod godłem „Lisa" krył się autor Eugenjusz Rogalski III c. Nagrodę odebrał dnia 10 lutego wobec całego gimnazjum.

Konkurs sportowo-turystyczny.

Prac nadesłano 6, z tego 2 bardzo słabe. Liczba, jak na tak ogromny zakład, jak nasz, niezwykle mała. Spodziewamy się na przyszłość więcej prac, wobec wyznaczenia bardzo wartościowych nagród. Chyba znajdą się wśród Was sportowcy, którzy nie popadli w manję rekordów i umieją jeszcze coś podobnego do noweli sportowej napisać.

I-ej nagrody (sprzęt sport. wart. 12 zł) nie przyznano, II-gą nagrodę przyznano Baselidesowi A. VII b za „Ostatni raz", przyczem Red. małe usterki tej pracy położyła na karb „niezupełnie odtajałej jeszcze ręki" i „zamarzniętego, subtelnego dowcipu".

Chcąc ułatwić tegorocznym abiturjentom wybór odpowiedniego zawodu, rozpisujemy konkurs humorystyczny:

„Jaki zawód jest najmniej uciążliwy?"

Najbardziej humorystyczna odpowiedź zostanie nagrodzona zegarkiem na rękę, który na ten cel został przeznaczony przez kol. R. Foedricha.

Należy podać odpowiednio umotywowaną odpowiedź, którą powinno się złożyć do skrytki „N. G.".

Odpowiedzi Redakcji.

„Moryc“ za rozwlekłe, prosimy zwięźlej opracować; pożądane momenty humorystyczne.

„O pierwszeństwo“ dobre, zresztą jak wyżej.

„F. I. S.“ Za jednostajne.

„Janek, Frydek — narciarze“. Brak treści.

T. S. III a. „Rok 1733“. Nie chcąc popaść w konflikt z właściwym autorem Gebertem, nie możemy odpisu wydrukować.

Klassek IV a. Dobre. Czeka na swą kolej.

J. W. IV a. Redakcja nie drukuje „bryków“ do szkolnych podręczników geografji.

M. W. kl. VIII. Nasz aparat (Pat. Nr. 7218 U. P. Rozp. d. 31. II. 1933) do sprawdzania, czy podpisany jest rzeczywistym autorem, na widok podpisu „Milewski W.“ pod nowelą „Straszny Gość“ parsknął końskim śmiechem, wskazał jako źródło natchnienia podpisanego „Płomyk“ rocznik 1926-7, co niniejszem publikujemy, aby odstraszyć innych od nadsyłania do Redakcji „odwalonych“ prac.

„Franek z chłopcami na sankach“. Całkiem nieudolne.

H. I. VII a. Narazie nie skorzystamy, gdyż nieaktualne. Poczeka w teczce do grudnia. Prosimy o artykuły w gwarze ludowej do numeru świątecznego.

Stanclik II c. Nieaktualne.

Kuder IV c. Bardzo słabe.

Wojniak IV a. Za dużo „szczęśliwości“.

„Król Bałtyku“, dość dobre.

Kobylański IV b. Lepiej opracować, to może pójdzie w następnym numerze.

—ooOoo—

NIESPODZIANKA!

P.: Co to jest szczyt bezczelności?

Odp.: Szczytem bezczelności jest „odwalić“ odezwę (patrz Świat nr. 1-2, 1933) podpisaną przez takie powagi naukowe, jak prof. Dr. Eug. Piasecki, ks. prof. Dr. Ciemniewski i inni, nadesłać do Redakcji „N. G.“, umieszczając zamiast podpisu wyżej wymienionych podpis **Lorenc J., VII a.**, który „łaskawie“ raczył przejąć ich autorstwo.

Żarty.

W TEATRZE.

— Jak się panu podoba ta arja — pyta młody człowiek sąsiada, pochodzącego z prowincji.

— Która, proszę pana — pyta zagadnięty — czy ta na prawo? Niczego babina.

—ooOoo—

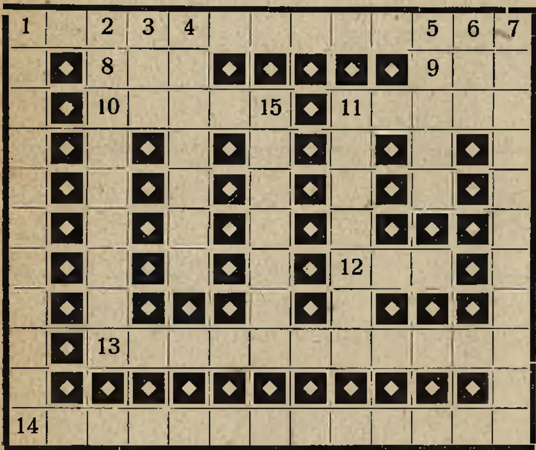
— Kiedy mam przyjść po pieniądze za mieszkanie?

— Co mamy teraz, styczeń? — A więc może pan zacząć przychodzić od czerwca.

Zagadki.

KRZYŻYKÓWKA.

uł. Szubas.



Poziomo:

1. Poeta polski, 8. mały wodospad wspak, 9. świątynia, katedra; 10. miasto w Niemczech; 11. stolica europejska wspak; 12. ryba; 13. troska; 14. wtór.

Pionowo:

1. Zbiór ustaw; 2. artysta; 3. rzeka w Polsce wspak; 4. poeta polski; 5. początek biegu; 6. ptak domowy; 7. bezczelny; 11. utwór Słowackiego; 15. in. nawskróś.

SZARADA.

uł. Ryży-Sęp.

Pierwszą i czwartą — to jechać warto,
Trzecie — to druga osoba, wiecie;
Drugą — to każdy człowiek poważa,
Piąta — poetów liczbę pomnaża.
Całość — szukajcie miasta na wschodzie,
Trochę na lądzie, trochę na wodzie.

WIZYTÓWKI.

uł. Szubas.

A. NIKIEL
KR.

ARTUR ARESTO

R. E. RAPAPORT

Odgadnąć zawód tych panów.

ZAGADKA.

Na „w" jest u wszystkich ludzi,
Na „m" lubią starzy i młodzi,
Na „s" jest zawsze na końcu
Na „t" czasem grzeje się w słońcu.

Cena ogłoszeń: Ogłoszenia na całą stronicę 40 zł, na pół stronicy 20 zł, na ćwierć stronicy 10 zł. Cena egzemplarza „Naszej Gazetki" wynosi 25 groszy.
Adres Redakcji i Administracji: Bielsko, Gimnazjum Polskie.
Opiekunowie: Ks. prof. Józef Skudrzyk, p. prof. Marjan Panczakiewicz, p. prof Stefan Ryżewski.
Redaktor naczelny: Brożek Erwin, VIII b. Red. administr. i kierownik lit.: Gorączko Roman, VII b, sekretarz: Paluch Szymon, VII b.
Scriptores: Pietrzyk R., IV c i Czubczyński J. IV c.
Linoleoryty wykonał Krzysztoforski Edmund, VI a.

Nakład własny. — Drukarnia „Dziedzictwa" w Cieszynie.